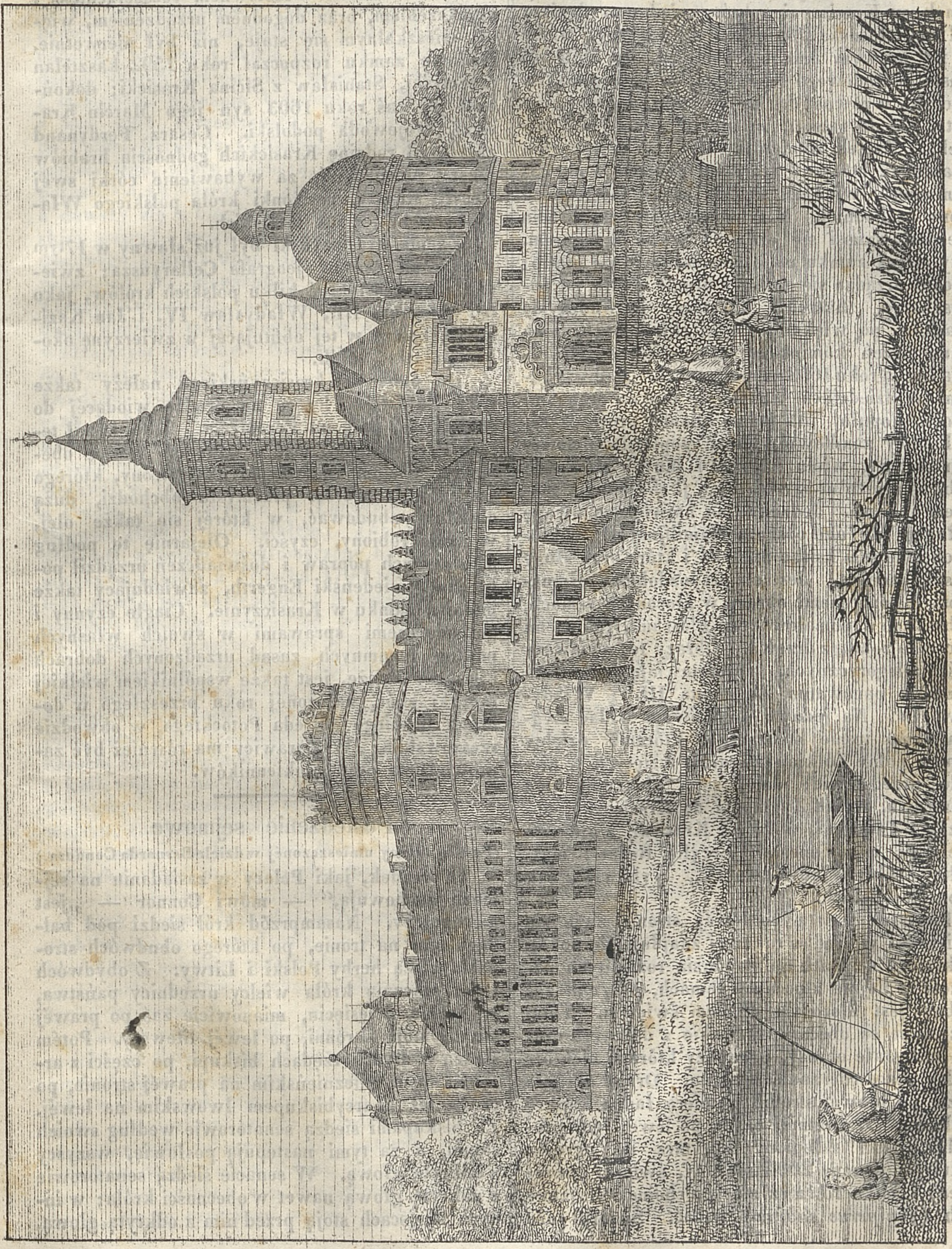
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 50.** Leszno, dnia 15. Czerwca 1839.



Zamek książęcy w Krasiczynie.

Zamek książęcy w Krasiczynie.

(Z widoków galicyjskich.)

Do najpoważniejszych i najpiękniejszych pomników, które z dawnéj przeszłości troskliwe zamiłowanie i opieka aż do naszych czasów przechowały, należy niezawodnie widzenia godny zamek w Krasiczynie, który niedawno dopiero stał się własnością księcia Lwa Sapiehy. Leży on na prawym brzegu Sanu, półtory mili od miasta obwodowego Przemyśla, przy węgierskim gościńcu, w równéj dolinie téj rzeki, którą, chcąc dostać się do zamku, na promie przebywać potrzeba. Zamek zbudowany w duży czworogran z basztami, otoczony szerokim okopem wodą napełnionym; wjeżdża się do niego mostem od strony zachodniéj. Nad mocno-warowną bramą zajezdną wznosi się ozdobna wieża z zegarem. Trzy strony zamku mają pomieszkania na piętro; obecnie urządza się także i drugie piętro na pomieszkanie. Szerokie kurytarze prowadzą do gmachów po większéj części sklepionych, i na zimną jesień kominkami marmurowemi z wyrażoną liczbą roku 1603 zaopatrzonych. Nad wschodami w dziedzińcu wznosi się piękna posągami ozdobna kopuła. Na jednéj ścianie, prowadzącéj do kaplicy zamkowéj, widać popiersia niemieckich cesarzy, wielu królów i innych sławnych osób, na murze *al sgrafitto*, t. j. skrobanym sposobem robione. Jednakże na największą uwagę zasługuje *plafond* obszernéj familijnéj sali, w któréj obecnie sam książe mieszka i która oraz służy za salę jadalną. Jest on przyozdobiony ośmnastoma historycznemi obrazy w złoconych ramach, arabeskami i pomalowanemi głowami, robionemi snycerską robotą z drzewa. Obrazy te, wyjąwszy sześć allegorycznych, przedstawiają zdarzenia z czasów panowania Zygmunta III. i Władysława IV. Na jednym środkowym widać Zygmunta na tronie siedzącego, któremu dzielny hetman polny Zółkiewski carów wziętych w niewolę przedstawia; daléj sejm elekcyjny pod Warszawą, wjazd Zygmunta do Krasiczyna, potyczkę z Tatarami, w któréj Krasicki, z kilkoma dzielnymi młodzieńcami, Cecylię Renatę, małżonkę króla Władysława IV., wybawił z rąk nieprzyjacielskich.

Pierwsza baszta po lewéj stronie zwie się papieżską; w środku takowéj znajduje się pokój, na którego ścianach są popiersia rozmaitych papieżów w hojnie złoconych ramach, *plafond* zaś zdobny jest złoconym duchem świętym. Tutaj to złożone są obecnie wszystkie z dawnych czasów pozostałe obrazy, pomiędzy któremi niektóre bardzo szacowne znaleść można. Druga okrągła baszta po prawéj stronie, zawiera ładną kaplicę zamkową. Z ostatniéj baszty po lewéj ręce prowadzi wązki sklepiony kurytarz do ogrodu, w którym jeszcze 200letnie lipy, świerki (*pinus picea*) i kilka również starych choinek klasztornych (*juniperus sabina*) widać. Świerki aże do wysokości blisko trzech sążni jeden tylko pień mają, potém dzieli się każdy na dwa również grube i wysokie pnie; główne zaś pnie przed więcéj niż stoma laty odpiłowano. Drzewa te prawdziwą są ozdobą ogrodu, który teraźniejszy posiadacz dopiero gustowniéj urządzać zaczyna.

Także i zamek kosztowném rozszerzeniem i upiększeniem, oraz dogodném urządzeniem, więcéj mieszkalnym się staje, niż był pierwotnie. Budowę zamku rozpoczął roku 1592 kasztelan przemyski, Stanisław z Sicina Krasicki; dokończył jéj zaś roku 1603 syn jego Marcin Krasicki, wojewoda podolski. Cesarz Ferdynand zaszczycił rodzinę Krasickich godnością hrabiów rzeszy niemieckiéj, za wybawienie córki swéj Cecylii Renaty, małżonki króla polskiego Władysława IV., z rąk tatarskich.

Zamek krasiczyński był już sławny w 17tym wieku, za czasów jeografa Cellaryusza; zwiedzało go częstokroć kilku polskich królów, jako to: Zygmunt III., Władysław IV. i Jan Kazimierz, którzy w téj obfitującéj w zwierzynę okolicy polować lubili.

Do państwa krasiczyńskiego należy także wieś Żurawica, leżąca na drodze wiodącéj do Jarosławia, milę od Przemyśla. Tutaj kazał teraźniejszy książę, mąż z naukami wielce obeznany, wieloma podróżami ukształcony, którego szczególniéj wzrost przemysłu obchodzi, dużą olejarnię zbudować, w któréj się także oléj, w kraju robiony, czyści. Olejarnię tę podług najnowszych popraw i doświadczeń urządził politechnik wiedeński Engerth, zawiadujący także budową zamku w Krasiczynie. Ciągle czynny i gospodarczemi sprawami w swoich własnych podług rozumnych zasad urządzonych dobrach kierujący książę, jest także wspólnikiem wielkiéj fabryki skór, założonéj roku przeszłego w dobrach hrabiego Alfreda Potockiego, w obwodzie rzeszowskim. W Żurawicy ma również być zaprowadzona osada sukienników.

Posiedzenie sejmowe.

(Podług ryciny umieszczonéj w dziele Bernarda Connora.)

„Porządek, jaki Polacy w zasiadaniu na sejmach zachowują,“ — mówi Connor — „jest następujący. Nasamprzód król siedzi pod baldachinem na tronie, po którego obudwóch stronach wiszą herby Polski i Litwy. Z obydwóch stron otaczają króla wielcy urzędnicy państwa, w liczbie dziesięciu, mianowicie zaś po prawéj stronie stoją koronni, po lewéj litewscy. Potém siedzą w dwóch rzędach biskupi, po części z arcybiskupem gnieznieńskim na prawéj stronie, po części téż z arcybiskupem lwowskim na lewéj. Za biskupami siedzą senatorowie według swoich stopni, a za tymi następują posłowie, wszyscy z odkrytą głową. W senacie siedzą senatorowie z nakrytą głową nawet w obecności króla; w innych miejscach stoją przed nim z odkrytą głową.

— Ci, którzy na sejmach głos mają, nie używają na nich innego ubioru nad zwykły; szabla wisi zawsze przy boku. Podobnież się rzecz ma w wszystkich innych dykasteryach w całym kraju. Zygmunt August chciał wprawdzie wojewodów, kasztelanów i posłów rozróżnić pomiędzy sobą ubiorem; nie przyszło atoli do tego."

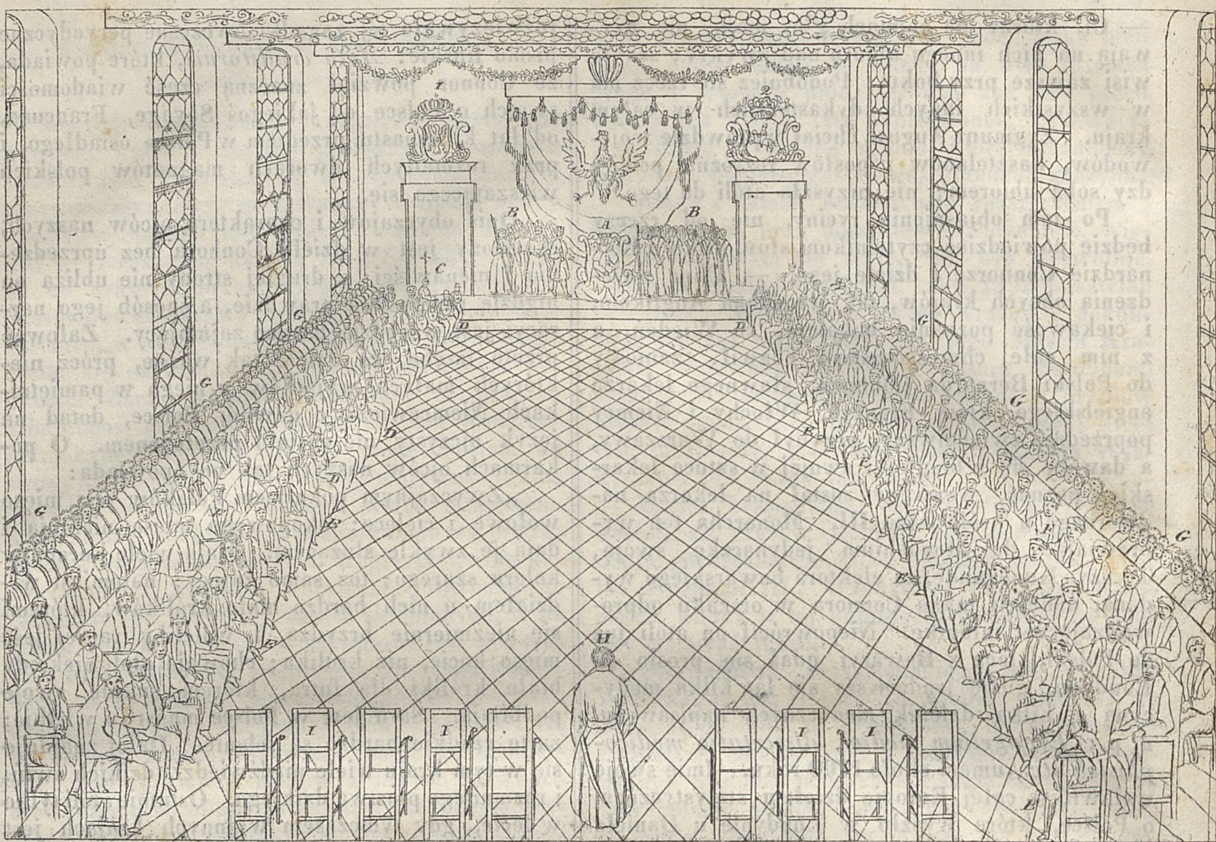
Po tém objaśnieniu ryciny, nie od rzeczy będzie powiedzieć czytelnikom słów kilka o Bernardzie Connorze i dziele jego. — Chęć zwiedzenia obcych krajów, tak wrodzona Anglikom, i ciekawość poznania bohatera, co Wiedeń, a z nim całe chrześciaństwo zbawił, zaniosły do Polski Bernarda Connora, sławnego lekarza angielskiego, który Francyą, Włochy i Niemcy poprzednio zwiedziwszy, przybył do Warszawy, a dawszy się z biegłości swojéj w sztuce lekarskiéj poznać, wezwany został na lekarza nadwornego u króla Jana III. Monarcha ten wyprawiając do Monachium jedynaczkę swoję, Terezyę Kunegundę, za elektora bawarskiego wydaną, umieścił także Connora w orszaku odprowadzającym infantkę. Niepowrócił on atoli już do Polski, lecz z Bawaryi udał się prosto do Londynu, gdzie trudniwszy się lat kilka medycyną i kilka dziełek medycznych napisawszy, n. p.: *Evangelium medici, dissertatio medico-phisica etc.*, umarł około 1700 roku. Imię swoje wsławił w całéj Europie dziełem statystycznem o Polsce, które wyszło w Londynie u Daniela Browna 1699 r. pod tytułem: *The history of Poland*, a potém przetłumaczone na język niemiecki w Lipsku u Fritscha 1700 roku. Układ tego dzieła jest następujący: Naprzód przebiega pokrótce historyą polską, od jéj pierwiastków, aż do swoich czasów; mówi o wielkiéj obfitości kraju, celniejszych miastach i prowincyach, o wielkiem księstwie litewskiem, o władzy króla, jego dworze i dochodach, o senacie, urzędnikach korony, sejmach, sejmikach, sądach, prawach i karach, bezkrólewiach, wyborze i koronacyi króla i królowéj, o znaczeniu szlachty, niewoli ludu wiejskiego, zwyczajach i obyczajach narodowych, wojsku, zamkach i rycerskich dziełach, o kupcach, monecie i bogactwie Polaków, o mieście Gdańsku, jego przywilejach, dochodach, o zakonie teutońskim i mistrzach jego; języku, stanie nauk i sztuce lekarskiéj w Polsce, o kołtonie, osobliwościach przyrodzenia, o księstwie kurlandzkiem, nakoniec o Gotardzie Ketlerze i jego następcach, tudzież o zakonie inflantskim kawalerów mieczowych.

Connor zaledwie rok jeden w Polsce bawił, a lubo w dziele jego postrzegać można wiele niedokładności, to przecież dziwićby się należało: jak w przeciągu tego krótkiego czasu, zajęty nadto obowiązkami swego powołania, mógł naród nasz tak dobrze poznać i ustrzedz się tylu usterków w statystyce Polski, od których krajowi nawet pisarze, n. p. Starowolski, Krasiński i t. d., nie są częstokroć wolni, gdyby nam nierozwięzywało téj zagadki ówczesne peryodyczne pismo lipskie: *Acta eruditorum*, które powiada, że Connor powziął znaczną część wiadomości swoich o Polsce od jakiegoś Savage, Francuza, od lat kilkunastu przedtem w Polsce osiadłego, i przy rozmaitych dworach magnatów polskich wieszającego się.

Opis obyczajów i charakteru ojców naszych, skreślony jest w dziele Connora bez uprzedzenia i nienawiści; z drugiéj strony nie ubliża on nigdzie rozmyślnie prawdzie, a sposób jego narracyi jest wszędzie bardzo zajmujący. Żałować przeto trzeba, że dzieło tak ważne, prócz niektórych małych wyjątków z niego w pamiętnikach Niemcewicza o dawnéj Polsce, dotąd na język ojczysty nie zostało przełożonem. O pokarmach ojców naszych tak on opowiada:

„Zwyczajnym pokarmem Polaków jest mięso wołowe i cielęce; skopowego mięsa nielubią i dają je zwykle służącym. Mają wiele kuropatw koloru szarego; toż samo zajęcy; natomiast widziałem u nich bardzo mało królików, któremi się niezmiernie brzydzą, i woleliby raczéj jeść mięso kocie, niż królika; chowają atoli niekiedy białe króliki dla futra, którem suknie swoje podbijają. Sarn jest w Polsce mnóstwo wielkie; za to rzadkie bardzo są jelenie. Daléj znajduje się w tym kraju wiele niedźwiedzi, dzikich świń, i rozmaitego ptastwa dzikiego. Ostatnie atoli tylko w lecie, gdy tymczasem w innych krajach jest go najwięcéj w zimie. Dzikich wołów (żubrów?) mają Polacy wielki zapas, a mięso z nich, nieco posolone, jest bardzo delikatne. Sposób polowania na dzikie woły jest następujący: Zbiera się wielu jeźdźców i otacza wołu ze wszystkich stron. Poczem jeden wyjeżdża z koła i wypuszcza na wołu strzałę. Wół, uczuwszy postrzał, rzuca się z wściekłością ku temu, który go zranił. Wtém wyjeżdża na harc drugi jeździec i ugadza znowu strzałą wołu, który się natychmiast ku nowemu swemu wrogowi obraca i z całych go sił ściga. Poczem znowu trzeci jeździec strzałę wypuszcza, wół znowu się ku niemu zwraca; i tym sposobem gonitwa ta trwa dopóty, dopóki wół upływem krwi i natężeniem zbytecznem sił zmordowany, pod żelazem myśliwych nie legnie."

„W górach karpackich znajduje się także wiele dzikich kóz, które Polacy za szczególny przysmak poczytują. Jedzą także z upodobaniem ogony bobrowe, odrzucając resztę mięsa tego zwierzęcia. Podobnymże sposobem przyprawiają z solą i octem łapy niedźwiedzie, które uważają za wyborną potrawę. Ubiwszy łosia, dozwalają mięsu kruszeć przez dwie niedziele, a w zimie nawet przez cały miesiąc, nim go do potraw użyją. Magnaci, przybywając na sejmy, przywożą z sobą po kilka nieodartych ze skóry i niewytrzewionych łosiów; wywieszają takowe na świeże powietrze i nie oddają ich do kuchni dopóty, dopóki cuchnąć nie zaczną. Mięso



Posiedzenie sejmowe. *)

z zwierząt tych jedzą zwyczajnie pieczone, albo też w potrawie zwanéj *boeuff à la mode*. Ostatnią poczytują za bardzo wyborną, i dla tego też znajdziesz ją na stole każdego magnata.“

„W Polsce znajduje się także bardzo wiele głuszczów, które co do wielkości wyrównywają kapłonowi. W Litwie znajduje się wiele bażantów (nie cietrzewi?), a w Prusach mnóstwo wielkie dropi. Około Łowicza trzymają się małe ptaszki, wielkości sporego wróbla, zwane śniegułami dla tego, że się razem z śniegiem ukazują i razem z nim znikają; smaku są wybornego. Co się tyczy domowego ptastwa, Polacy jadają je zupełnie świeże, to jest: chcąc jeść kapłona na obiad, zabijają go tego samego dnia rano.“

„Z ryb morskich posiadają Polacy bardzo mało, ponieważ kraj ich z samem tylko baltyckiem morzem graniczy. Niedostatek takowy ryb morskich nagradzają im sowicie ryby z rzek, jezior i stawów, których mają aż do zbytku. Ryby rzeczne smaczniejsze są zwykle od jeziornych i z stawów.“

„Polacy mają dziwny sposób przyprawiania kapusty. Krają ją drobno, układają w beczki, posypują solą, ubijają i polewają ciepłą wodą, co sprawia, że kapusta kiśnie. Tym sposobem zachowują ją przez całą zimę, a czasem nawet i przez cały rok; a chociaż zapach jéj rażący z daleka już czuć można, to przecież utrzymują oni, że to jest wyborny przysmak.“

„Napojów mają rozmaite gatunki; najpospolitszym atoli napojem jest piwo, które w Prusach z samego tylko słodu, w innych zaś prowincyach Polski z szrotu i chmielu robią. Piwo ich jest koloru ciemnego i przyjemnego bardzo smaku, zwłaszcza piwo wareckie, i piwo, które szlachta dla siebie warzy. W Litwie, prowincyach ruskich i na Ukrainie, robią miód, biały i czerwony; w Warszawie robią z miodu wiśniaki i maliniaki. Prócz tych napojów, sprowadzają Polacy wina z Francyi, Niemiec, Włoszech i Węgrzech. Wino węgierskie jest najulubieńszem. Dla ludu wiejskiego pędzą Polacy wódkę z żyta, jęczmienia, owsa, gruszek, jabłek i t. p. W zimie używa wódki i szlachta, przyprawiając ją anyżem i rozmaitemi korzeniami.“

„Polacy nie jedzą prawie nigdy mięsnego śniadania; mało też dbają o zimne potrawy. Rano, tak męszczyzni jak kobiety, jedzą grzane

*) *A.* król. — *BB.* wielcy urzędnicy państwa. — *C.* Prymas. — *DDDD.* senatorowie duchowni. — *EEEEE.* posłowie obcy. — *FFFFFF.* wojewodowie i kasztelani. — *GGGGGG.* posłowie województw. — *H.* marszałek. — 1. i 2. herby korony i Litwy.

piwo z cukrem, imbierem i żółtkami. Ulubioną ich potrawą jest pieczone prosię. Na obiad majętniejsi muszą mieć zawsze groch okrągły, obłożony skwierkami; co im bardzo do smaku przypada. Jadają także grzyby wszelkiego rodzaju, nawet drzewne. Do pokarmów ich należy także mak, którego często kosztują, popijając po nim mleko; robią także z niego rozmaite zupy i potrawy. Wytłaczają téż z niego oléj, równie jak i z konopi i siemienia lnianego; oleju tego używają do potraw postnych. Potaże z różnych warzyw, przez francuzkich kucharzy sporządzone, jadają bardzo chętnie. Potrawy ich nie są nigdy przegotowane i dla tego téż mają smak wyborny. Zupy ich różnią się od naszych bardzo. Jedne są żółte, szafranem zaprawione; drugie białe, z śmietaną; inne szare, z cebulą; inne nakoniec czarne, z powidłami. W zupy te kładą bardzo wiele cukru, niekiedy téż pieprzu, cynamonu, imbieru, gwoździków, muszkatułowych gałek, oliwek, kaparów i śliwek. Sosy ich rybne są daleko lepsze od naszych i francuzkich. Polacy tak obficie używają korzeni, iż są przykłady, że jedna kuchnia znacznego pana do 17000 talarów corok na nie wydawała. Rozmaitych roślin ogrodowych mają Polacy poddostatkiem; niektórych niewidziałem w żadnym innym kraju. Każda domowa apteczka zaopatrzoną jest w konfitury i marynaty wszelkiego rodzaju. Lubo najpiękniejsze zboża rodzą się w Polsce, Polacy mało jedzą chleba, za to bardzo wiele jarzyn, które wyśmienicie przyprawiają."

„Udający się goście na ucztę, przynoszą z sobą łyżki, widelce i noże. Zamiast serwet, przyszyty jest do obrusu kawał płótna naokół stołu. Skoro wszyscy zasiądą, zamykają się podwoje i nie otwierają, aż goście wstaną od stołu. Ostrożność ta jest potrzebna, bo nie jeden z służących umie palcy swoich używać, to jest umie przywłaszczać sobie rzecz cudzą."

„W domach osób majętniejszych znajdują się osobne sale jadalne, w których za kratą stoi stół napełniony naczyniami srebrnemi. Na tych samych salach są chóry dla orkiestry, która podczas obiadu grać zwykła."

August III. król Polski.

(Ciąg dalszy.)

Chował przy dworze swoim błazna, czyli trefnisia, który go, w melancholicznym humorze będącego, śmiesznemi żarcikami i kuglarskiemi figlami rozrywał, i drugiego poetę, który w niemieckim języku z każdéj okoliczności dowcipne i śmieszne wiersze nagle składał. Ci dwaj ludzie mieli przystęp do króla wolny każdego czasu. Assystowali mu także podczas publicznych obiadów i kiedy w ogrodzie do tarczy strzelał. Tytuń palił mocno, a najwięcéj po obiedzie, po którym przy tytuniu popijał sobie saskie piwo tęgie i tłuste, osobliwie dla niego robione. Prócz wyrażonych dopiero, miał jeszcze jednę rozrywkę, nie ze wszystkiem przystojną. Kazał przywlóczyć przed okna swego pałacu, w miarę strzału, ścierwy zdechłych koni, dla zwabienia psów. Te strzelał z wiatrówki, a oprawca płatny miesiącami, ubite psy codzień wieczorem wywlóczył z dziedzińca i zakładał nowe ścierwy, z gnatów ogryzionych wyczyszczając dziedziniec. Jadał tłusto i wiele. Kuchnia jego nie miała równéj w Europie, tak co do wytworności potraw, jakoteż co do ich wielości. Kucharzów, kuchcików, posługaczów kuchennych, pomywaczek, liczbę do setnéj dochodzącą chował. Toż samo niemal było w cukierni. Choć sam jeden obiadował, zastawiano jednak przed niego najmniéj 20 potraw i potém wety i cukry. Ale za to nie jadał wieczerzy, chyba bardzo rzadko i to jaki lekki specyalik. Lecz za niego jedli i pili dobrze jego dworacy. Zgoła, co się tyczy stołu, ten był suty aż do zbytku, tak, iż wszedł w przysłowie. Kiedy bowiem kto dobry obiad miał, mówiono: jadłem dzisiaj jak król polski. Co schodziło z królewskiego stołu, rozchodziło się na inne stoły, kapellanów, kammerdynerów, paziów, kamerlokajów, fryzyerów i innych, na stół gotowy, nie na strawne służących. Oprócz tego, dla wszystkich stołowników gotowano osobne obiady; schodzące zaś z królewskiego stołu potrawy dawano za przydatek. Nie mogąc wszyscy pojeść takiego zbytku, przedawali potrawy całkiem nietykane do miasta i była to obrywcza kucharzów i szafarzów, pod rękę których czasem potrawy nie dane do stołu i schodzące z niego powracały. Toż samo działo się z mięsiwami surowemi, z drobiazgami; toż samo z innemi ingredyencyami kuchennemi i kredensowemi, jakoto butelkami wina i piwa, z cytrynami, fruktami, świecami jarzęcemi i t. d., bo wszystko, podług regulaminu, od ministra przepisanego, szło dziennym wydziałem; lecz nic, co się z tego wydziału nie strawiło, nie powracało do śpiżarni i piwnicy. Szambelan, odprawujący dzienną służbę, podawszy królowi pierwszą farfurkę z potrawą, siadał z nim do stołu, i kto inny jeszcze z domowych, kogo król zawołał.

W dni galowe, jako to w dzień narodzin, koronacyi królewskiéj i tym podobnych, dawał król otwarte stoły dla senatorów i urzędników koronnych, do których zasiadali za biletami liczbowanemi, losem ciągnionemi. Jaką kto wyciągnął liczbę, takież zasiadł miejsce podobnąż liczbą, do krzesła przypiętą oznaczone; tym sposobem król pokazywał, że wszystkich, mimo różnicę godności, równo szanował. W dniu 3. Sierpnia, dla samych tylko orderowych dawał król obiad, do którego siadali porządkiem wyżéj opisanym. Tego dnia, imieniny królewskie i uroczystość orderu orła białego znaczącego, ubierali się wszyscy w suknie jednakowe, to jest czerwoną wierzchnią, białą spodnią.

Kiedy wyjeżdżał z Saxonii do Warszawy, albo z Warszawy do Saxonii, albo do Grodna na sejm, lub gdzieindziéj na polowanie, czynił to pocztowemi końmi, w pomoc którym panowie przystawiali po stacyach swoje cugi, i kto tylko miał, najmował do téj jazdy swoje konie. Stanowiska w podróży do Saxonii i ztamtąd, kiedy jechał na Wrocław, były: jedno w Lubochni, drugie w Sokolnikach; kiedy na Poznań, w Kluczewie; w których miejscach były pobudowane dla niego pałace i przy nich utrzymywani kosztem jego murgrabiowie, a po śmierci jego też pałace ze wszystkiemi meblami dostały się possessorom dóbr, w których były zbudowane.“

„Lubił też król strzelanie do tarczy, na którą zabawę, o kilkaset kroków od pałacu odległą, nosili go hajducy w lektyce, na trzy stacye po dwóch rozstawieni, szybko, choć z ciężarem nie ladajakim centnarowéj osoby królewskiéj, nogi zbierający. Po obu stronach lektyki biegli paziowie, szambelan i oficer, a za lektyką lokaje, służbę dniową u króla odprawujący. Tuż za królem w drugiéj lektyce tymże sposobem niesiono ministra Brühla. To strzelanie zaczynało się o godzinie czwartéj popołudniu i trwało do godziny szóstéj przez miesiąc Maj; do którego strzelania używał król niektórych senatorów i urzędników koronnych orderowych. Którzy się ofiarowali do téj zabawy królowi, byli zapisani w katalog i podług tego katalogu byli przywoływani do strzelania. Mający strzelić, wchodził do strzelnicy, o 300 kroków od tarczy odległéj, gdzie mu strzelec królewski podawał sztuciec nabity i odbierał wystrzelony. Kto zaś niechciał strzelać z sztucca królewskiego, wolno mu było strzelać z własnego, od swego strzelca nabitego. Za każdem wystrzeleniem, laufer, ubrany w togę kitajkową czerwoną, wybiegał z za tarczy z dołu, dla siebie za nią wykopanego, oglądał w tarczy wystrzał, zabił go kołkiem i na tabliczce białéj okrągłéj pokazał czarno odmalowany numer taki, jaki kto na tarczy ustrzelił. Jeżeli zaś kto wcale tarczy chybił, obiegł ją trzy razy do koła. Poeta królewski, za każdym strzałem na pochwałę strzelającego, albo na żart z niego, powiedział parę wierszy niemieckich; błazen zaś ciągle podczas tego strzelania różne figle stroił, albo z drugim nadwornym którego pana błaznem w czuby i zapasy dla rozrywki królewskiéj chodził. Gdy się skończył miesiąc strzelania, rozdawał król dziesięć premiów między tych, którzy się najlepiéj popisali; mniéj zręcznych pominąwszy. Te premia składały się z numizmatów różnego waloru złotych, albo z sztuk porcellanowych. Nie było obowiązkiem wpisanych w katalog każdego dnia znajdować się na strzelaniu; wolno było czasem nie być. Dla przypodobania się jednak królowi, rzadko który opuścił to strzelanie.“

„Kochał się także ten król wielce w orkiestrze, do któréj dobierano wirtuozów, śpiewaków i śpiewaczek, w całéj Europie najsławniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował i na operach, dobierając do siebie na wspomnione opery muzykantów różnych panów, mianowicie Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, i książęcia Czartoryjskiego, kanclerza W^go^ litewskiego, tak, iż liczba muzykantów, grających operę, przenosiła sto osób. Te opery wielkie odprawiały się dwa razy w tydzień, we wtorek i piątek; a lubo dla wielkiego kosztu w odmianie jednę operę grano przez pół roku, postaremu król bywał na każdéj punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednéj półrocznéj reprezentacyi; siedział w loży nieporuszenie przez trzy godziny, a czasem i dłużéj trwającéj opery, i gdy widział teatrzyk nienapełniony widzami, dziwował się niegustowi polskiemu, iż się nie ubiega do widzenia rzeczy tak wielce delektującéj oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, któréj widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były, podczas sejmu lub innych zjazdów bez biletów, dla wszystkich, jakiegokolwiek stanu ludzi.“

Górnica.

(Przez autora powieści Jadama.)

Ultimis Junii anno Domini 1701 o nieszpornéj godzinie, przejeżdżałem mimo wioski; podróż miałem pilną, bo *ante Dominicam laetare* wypisany w sprawie mojéj był rok, a droga niepośpieszna; alić w kościółku, co się wznosił śród piasków na pagórku, zadzwoniono we wszystkie dzwony. Byłato oktawa Bożego ciała. Wspomniałem na Gawrockiego mecenasa nieboszczyka: Panie, świeć jemu! wspominałem co mawiał: *„Msza ś. a nieszpór, nikomu czasu nie weźmie,“* i jako nie raz, nie dwa, luboć przypadały sprawy o nieszpornym czasie, Pan Bóg niedopuścił żadnéj upaść per non sunt, wtenczas, kiedy strona słowa Bożego słuchała w kościele. Więc zawołałem na woźnicę, by stanął, i ścieżką biegłem do kościółka.

I wszedłem weń; mały byłto kościółek, nizki i ciemny, ludem napełniony, chociaż połowa gromady na cmentarzu stała. Godziłoby się Bogu wielkiemu inny wystawić kościół; ale jakem słyszał, z dwóch kolatorów: jednego nie stać na budowę, drugi, stolnikiem go tytułują, zamożny obywatel, wyrobił sobie u biskupa przywiléj na kaplicę we dworze, trzyma kapelana swego, o kościół parafialny nie dbając. Żeby tak na mnie, jeno podeszłym, a schorzałym staruszkom pozwoliłbym nabożeństwo domowe; niedobrze to kiedy Chrześcianin się leni odbyć drogę do powszechnego kościoła. Alem nie bocian, abych świat czyścił.

Jak się rzekło, kościół był pełny luda pospolitego; niewiast po prawéj, i chłopstwa, które

od lewéj ściany gniotło się w ciżbie; państwa i honoratiores nie dostrzegłem żadnych. W pierwszéj ławce siedział chłop w górnicy, co mnie zadziwiło nieco, żem go tam nie widział, a więcéj, że się modlił z książki, snać chłop jakiś piśmienny; ale wystawić sobie proszę zadziwienie moje, kiedym postrzegł na palcu jego prawéj ręki sygnet; ale to krwawnik ogromnéj wielkości z klejnotem herbowym; coby to znaczyło? daremniem łamał sobie głowę nad tą zagadką.

W drugiéj ławce siedział w kapocie człek jakiś z wąsiskami; z miny i czupryny wziąłem go za podstarościego; tudzież obdartus jakiś, snać pisarczyna dworska, przy nim zabierał miejsce; daléj fraucymer. Jam niepatrzał na niewiasty, jak to w kościele nieprzystoi, ale żadnéj tam niebyło młodéj i ładnéj; trzecia ławica była próżna, tam siadłem.

Po nabożeństwie, które dając świadectwo prawdzie, odbyło się uroczyście i ku zbudowaniu każdego katolickiego serca, powiem co się daléj działo.

Kiedy przyszło do kropienia, ksiądz doszedłszy do ławek, miasto potrząsnąć kropidłem, chłopu swemu w pierwszéj ławce siedzącemu, z uniżonością i całą atencyą i konsyderacyą podał kropidło do umaczania w niém palców; łysinę zaś podstarościego i czepki niewiast polał dobrze, i mnie święconéj nie żałował wody. Otóż rzekłem do siebie: „Dziwna to i niezwyczajna taka dla prostego wieśniaka excepcya.“ Ale nie na tém koniec: z większem jeszcze zadziwieniem mojém widziałem — na własnem oczy widział — idącego do ołtarza prosto ku owemu wieśniakowi, idącego mówię księdza plebana z krzyżem i prezentującego go chłopu onemu do pocałowania. I chłopisko owe w górnicy, odbierało takim sposobem honory i dystynkcye, dziedzicowi tylko należne; omało w głos niezawołałem: „Co tego, to za wiele!“ i jakiem długo na świecie żyw, nie pomnę, bym coś podobnego gdzie był widział, czytał albo słyszał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Samuel Dambrowski.

Wymowa kościelna wpływała u nas silnie naprzód na ocalenie, a późniéj na wykształcenie mowy ojczystéj. Gdy bowiem język łaciński, język liturgiczny, wypychał ją zewsząd, kaznodzieje musieli przemawiać do ludu językiem zrozumiałym, językiem krajowym; tym sposobem mimowolnie ocalali go i kształcili. Lecz nie jest to jedyną już zasługą wymowy kościelnéj: usiłowała ona zawsze, objawiając słuchaczom przedwieczne prawdy i wyroki, zwracać także ich uwagę na pomyślność publiczną; karciła więc śmiało w wszystkich stanach występki, grożąc strasznym sądem pańskim, upadkiem, niewolą. Odznaczali się w tém rzemiośle apostolskiém, jak się Skarga wyraża, szczególniéj kaznodzieje katoliccy; religia bowiem katolicka nieprzestała nigdy na chwilę być religią panującą, nastręczała mówcom kościelnym na sejmach, sejmikach, zjazdach, kołach i t. p., obszerne pole do działania. Téj nieograniczonéj wolności prawienia prawdy używali też śmiało: Skarga, Bembus, Birkowski i inni, a ów tłum burzliwy, który częstokroć swoich współobywateli za najmniejsze słówko, opinii lub interessowi jego przeciwne, na szablach roznosił, korzył się, kruszył przed mówcą kościelnym, wyrzucającym mu w żywe oczy, bez ogródki, bez żadnego względu, publiczne i prywatne grzechy. Nie poprawiał się przecież! nie jestto atoli bynajmniéj winą mówców kościelnych: oni wypełnili sumiennie swoję missyą.

Mniéj mieli u nas sposobności do podobnego posłannictwa kaznodzieje dyssydenccy, ograniczeni jedynie szczupłą liczbą słuchaczy swoich parochialnych kościołów. Dla tego też ich kazania są wszystkie treści ściśle dogmatycznéj, i rzadziéj atoli, polemicznéj. Niżsi są przeto od katolickich co do interessu i zajęcia czytelnika; nie masz w nich owego zapału i ozdób retorycznych, które tyle wdzięku nadają mowom Skargi i Birkowskiego, ale znajduje się w nich skarb dla nas nieoceniony, to jest rzadka czystość języka, prawdziwie polskie zwroty i formy mówienia. Na czele tych mówców kościelnych dyssydenckich stoją: Grzegorz z Żarnowca, nazywany Skargą Kalwińskim, Paweł Gilowski, Krzysztof Kraiński i Samuel Dambrowski, którego wizerunek niniejsza rycina wyobraża.

Urodził się r. 1577 w Pogorzelu litewskiém. Odbywszy nauki szkólne w sławnem naówczas gimnazyum toruńskiem, udał się późniéj na akademie niemieckie. Tu usposobiwszy się na duchownego wyznania augsburskiego, przyjął wezwanie gminy polskiéj luterskiéj w Poznaniu, która go w roku 1601 na kaznodzieję swego powołała. W Poznaniu przebywał Dambrowski, aż do roku 1615, to jest do chwili zburzenia zborów ewanjelickich w tém mieście. Potém przeniósł się do Wilna, gdzie dnia 5. Lipca 1625 roku, w 48. roku życia dokonał. Pisarze dyssydenccy nie mogą się dosyć nachwalić nieskazitelności obyczajów, nauki i darów wymowy Dambrowskiego. Tym też zapewne przymiotom zawdzięczał on nieograniczone zaufanie, jakie u szlachty i duchowieństwa swego wyznania posiadał; zaufanie, które go już w 31. roku życia na najwyższy stopień w kościele augsburskiego wyznania, to jest na superintendenta zborów luterskich w W. Polsce, a późniéj w Litwie i Żmudzi, na synodzie w Miłosławiu odprawionym, wyniosło. Kazania, które miewał w kościołach poznańskim i wileńskim, tak się jego współwiercom podobały, że zniewolony został ogłosić je drukiem. Piotr Nonhart, starosta orański, kazał je własnym nakładem wytłoczyć r. 1621



Samuel Dambrowski.

w Toruniu, pod tytułem: *Postylla chrześciańska.* Postylla ta wychodziła później po kilkakroć z druku, i dotąd jest niewyczerpaném źródłem dla kaznodziejów polskich wyznania ewanjelickiego w Prusach wschodnich i zachodnich i w Szląsku. Mniejszéj wagi jest dziełko Dambrowskiego, wyszłe w Gdańsku 1611 u Hünefelda pod tytułem: *Lekarstwo duszne człowieka chrześciańskiego.*

Dambrowski, jak wszyscy nasi mówcy kościelni dyssydenccy, w kazaniach swoich uważa tylko człowieka ściśle w stósunkach domowego życia, a unika troskliwie dotknięcia, by też najlżejszego, materyi publicznéj. Co się zatem po za obrębem mieszkań jego słuchaczy działo, to go bynajmniéj nie obchodzi. Bierze on ewanjelią i rozbiera ją zimno, bez najmniejszych ozdób retorycznych, wyprowadzając z niéj naukę moralną. Ztąd też wykłady jego bardziéj są podobne do traktatów moralnych, rozumujących, niż do wymowy kościelnéj, do serca przemawiającéj i umysł słuchacza podług swéj woli kierującéj. Język przecież jego jest czysty, doskonale ogładzony i płynny, jak się czytelnik z następującego wyjątku przekonać może. Chcący tedy dobrze po polsku pisać, w czytaniu starożytnych dzieł polskich, nie powinni pomijać także Dambrowskiego.

„Niżeli na świat przyszedł Pan Jezus, Chrześcianie moi mili, dziwnie się szatan z ludźmi obchodził. Zwodził je i trapił jako chciał, a mając kaplice i ofiarowniki swoje, moc i władzę nad stworzeniem Bożym, jako Bóg niejaki bez wstydu sobie przywłaszczał. Pełno tego w księgach i historyach pogańskich macie. Lecz skoro się na świat Pan Jezus ukazał, zaraz szatan w siłach swoich słabieć, i w złości swojéj okrutnéj ustawać począł: widząc, że Pan nasz dla tego na świat przyszedł, aby uczynki diabelskie psował i królestwo jego pustoszył. Macie o tem przykład jasny w dzisiejszéj ewanjelii. Przywiedziono Panu Jezusowi człowieka opętanego, zarazem go uzdrowił i z mocy diabelskiéj wyjął. O czem acz dyskursy rozmaite między człowiekiem pospolitym były, wszakoż dowiódł im tego Pan, że to mocą Bożą sprawił. Usłyszycie o tem szerzéj z wykładu saméj ewanjelii, która ma w sobie pięć części i t. d.“

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. J. Łukaszewicz.*)